№ 1 Warszawa, dnia 1 marca 1915 r. Cena kop. 6

Co tydzień

pismo ilustrowane poświęcone chwili bieżącej



Za nimi śmierć i pożoga...

POLICZEK.

NOWELA.

W przedziale wagonu oprócz mnie jechał jakiś mężczyzna niemłody, lecz czerstwy, o twarzy ogorzałej, pełnej energji i wyrazu w oczach. Miał ten specjalnie polski typ twarzy, stanowiący dziwną mieszaninę krogulca i gołębia: coś jastrzębiego w suchym, zagiętym nosie i krzaczastych brwiach, pewną drapieżność, nielicującą zgoła z wesołemi, uśmiechniętemi ustami nad okrągłym, dobrodusznym podbródkiem.

Towarzysz mój drzemał, czytał dzienniki, wreszcie zagadnąwszy mnie o coś, począł opowiadać niedawne dzieje, wrażenia, opowiadać żywo, jędrnie, podkreślając słowa żywą gestykulacją. Był obywatelem ziemskim. Majątek jego położony był w połaci kraju, przez którą przeszła nawała austryjacka. Wszystkie narody dwujednej monarchji przewinęły się przez cichy zawsze jego dwór. Słowacy, czesi, madziarzy korzystali z jego przymusowej gościnności, zabierając ze sobą upominki w postaci inwentarza, ziarna, sprzętów, naczyń kuchennych nawet.

Przez trzy doby dokoła samego dworu wrzała bitwa artyleryjska. Austryjacy zatoczyli trzydzieści sześć armat, ustawili je bądź w parku, bądź między zabudowaniami folwarcznemi i bili z nich bezustanku aż do chwili, gdy zaprzęgłszy konie do lawet, zjechali pośpiesznie z pozycji, by nie powrócić więcej.

— Zapewne spustoszono panu dwór i budynki?— zapytałem.

— Gdzie zaś! Wyobraź pan sobie, że wieś spalono doszczętnie, wszystkie stogi również, we dworze zaś nie wybili mi ani jednej szyby.

— Dziwne zrządzenie losu.

— A tak, fatalizm jakiś. Już to wojna, panie, jest najlepszą szkołą zabobonu, wiary w przeznaczenie. Albo w opatrzność i opiekę Boską, co pan woli. Nie dość, że dwór ocalał, lecz wyobraź pan sobie, nikt mi nie zginął ze służby, ani z tych biedaków, którzy uciekli z płonącej wsi i ukryli się u mnie w piwnicy we dworze. A kanonjerzy, powiadam panu, padali jak muchy; konie rozrywało na drobne kawałki w moich oczach.

— To pan widział działanie pocisków?

— Jakże miałem nie widzieć, mój drogi panie? Z początku siedziałem ze dwie godziny w piwnicy, ale potem znudziło mi się, no i ciekawość mnie wzięła zobaczyć, jak też to wszystko wygląda. Owinąłem sobie głowę ręcznikiem na uszy, żeby choć trochę mniej słyszeć ten przeklęty łoskot, kazałem sobie wynieść stół pod lipę do ogrodu i tam siedziałem. Później chodziłem po podwórzu, zaglądałem do stodół. Przyzwyczaiłem się zupełnie. Zresztą niepodobna było nie zajrzeć tu i ówdzie.

Ludzie dorośli, parobcy, szczególniej baby—nosa z piwnicy nie wysunęli, zato dzieci nic sobie z niczego nie robiły. Powyłaziło to mizeractwo na dwór i dalej się bawić po swojemu. Co który szrapnel nadlatuje, to gwiżdże jak olbrzymi komar: fiuuu. A dzieciaki głowy zadzierają do góry i nuże tak samo gwizdać. Żal mi było patrzeć na tych biedaków! Głodne, płaczą, czepiają się spódnic matczynych, wołają chleba. A chleba, albo mleka w całym dworze ani na lekarstwo. Wszystko mi wojsko zdążyło zjeść i wypić. Serce mi się krajało, że im nic dać nie mogę.

Poszedłem szukać, czy czego nie znajdę. Po długich poszukiwaniach znalazłem gdzieś w szafie dużą kromkę chleba i trochę cukru. Wziąłem nóż i idę między dzieciaki. I, wie pan, że o mało nie zginąłem i to nie od pocisków, co dokoła mnie padały, ale właśnie przez ten chleb, com go dzieciom dawał.

— Jakto? — zdziwiłem się.

— Czekaj pan. Otóż kraję właśnie ową kromkę na cienkie pajdki i wtykam każdemu dzieciakowi z kawałkiem cukru w rękę. Siedział też nieopodal mały chłopaczyna chudy, chuderlawy i taki wygłodzony, że mu przez zapadłe i przezroczyste, jakby szklane, oczy pusty żołądek było widać. Oczu z chleba nie spuszcza, oblizuje się, płacze z niecierpliwości i obawy, czy aby starczy dla niego. Podchodzę, daję mu większą kromkę, aż tu widzę, jak mi się z pod ramienia wysuwa jakaś wielka łapa i wydziera chleb z suchych palczyn chłopaka. Coś mną targnęło, coś zasłoniło mi oczy. Odwracam się—i buch w pysk! Wie pan kogom tak uczęstował?

— No?

— Jakiegoś kaprala austryjackiego. Jakem to spostrzegł, myślę sobie: źle. Albo mnie sprzątnie od ręki, bez gadania, albo krygsgerycht i powieszą, jak amen w pacierzu.

— No i cóż się stało? — zapytałem.

— Ano żyję, jak mnie pan widzi.

— Fatalizm?

— Być może. Ale posłuchaj pan. Odskoczył parę kroków, jakby koło niego piorun trzasł—i za szablę. A patrzył na mnie tak, że pomimo woli jakoś niemiło mi się zrobiło i myślę: ostatnia moja godzina, ha, trudno. Aż tu mój kapral patrzy, ale zgoła już inaczej. Spojrzał na mnie, na dzieciarnię i mignęło mu coś w oczach, poprzysiągłbym, że łzy. Powiedział do mnie kilka słów po czesku, podniósł chleb, który był upadł na ziemię, podał dziecku i, nie odwracając się, poszedł. Fatalizm, powiada pan. Chyba nie. Coś tam jest w ludziach, jakaś sprawiedliwość wyższa nad wszelkie prawa wojny, prawa chwilowego zwycięzcy. W człowieku sumienie śpi, ale czasem się ocknie. Może był ojcem?

Pociąg zatrzymał się na stacji i mój towarzysz wysiadł.

J. G.

Mój miły.

W ciężkich butach szedł po bruku mój miły,
kiedy dzwony na mszą ranną dzwoniły.

Szedł mój miły do rogatki po śniegu
i żałośnie patrzył na mnie z szeregu —

i na drodze, nóg tysiącem zdeptanej,
machał ręką, ginąc w dali nieznanej...

Dni mijają, długie noce mijają,
wichry wieją, białe śniegi padają...

Wielki Boże! drugi miesiąc już minął,
a on poszedł i ślad po nim zaginął.

Tylko zrana, gdy zadzwonią w kościele,
pod mem oknem suną szare szynele,

ciężkie buty, ciężko idą po śniegu,
siwe oczy patrzą smutnie z szeregu.

— O mój miły! dokąd idziesz, mój miły?
Jakie smutki twoje oczy zgasiły?

— Jakie troski sny junackie twe płoszą,
że tak stąpasz, jakbyś giął się pod noszą?

Idzie miły mój w dalekość nieznaną
wielką drogą, nóg tysiącem zdeptaną,

idzie drogą, macha ręką z szeregów,
mroźnym wichrem mówi do mnie ze śniegów:

— Z tamtej strony w moją stronę wpatrzony
z karabinem stoi brat mój rodzony.

— Coraz krwawiej straszny bój się rozwija —
a on na mnie swój karabin nabija!

— A pierś moją coraz mocniej ugniata
każda kula, którą niosę na brata! —

EDWARD SŁOŃSKI.

25 stycznia 1915 roku.

Za nimi śmierć i pożoga...

Bój, który już zacichał, rozpoczął się z nową siłą. Nieprzyjaciel nieprzerwanym ogniem artylerji zasypuje pozycje rosyjskie. Około trzech godzin trwa pojedynek artylerji. Ciężki zmierzch wieczorny zasnuwa pola i las białym całunem mgły. Zacierają się czarne kontury domów i drzew leśnych i zlewają się w jedną czarną masę.

Ognie sygnałów mżą w tumanie, przedzierając się przez mgieł powłokę, szukając odpowiedzi z pozycji czołowych.

Baterje niemieckie ścichają; tylko gdzieś od lewego skrzydła warczą jeszcze nieznużenie armaty, rzucając pociski eksplodujące w środek Sochaczewa.

Coś jęknęło nagle, zasyczało, zaskowyczało. Wzrok napróżno sili się uchwycić bieg pocisku. Z przeraźliwym hukiem i trzaskiem pękł pocisk gdzieś w mieście. Płomień pożogi wzniósł się nad wyniosłą wieżą ratusza i podsycany wiatrem, rozszerzać się począł w górnej części miasta.

Wspaniałe zwaliska starożytnego zamku książąt Mazowieckich na urwistym, wysokim brzegu Bzury, przez wiele stuleci królujące nad miastem, wyrosłem na zboczach wybrzeża, w łunie pożaru wydają się jakiemiś potwornemi widziadłami, które się zbiegły, by oglądać pole śmierci.

Drugi ciężki pocisk wybuchnął w pobliżu młyna parowego, który w jednej chwili stanął w płomieniach. Olbrzymie słupy iskier i płomieni, buchające z dwóch stron miasta, zbliżać się poczęły ku sobie, oświecając brzegi rzeki na rozległej przestrzeni.

Wykurzeni ogniem mieszkańcy wypełzli z piwnic. Jedni, straciwszy głowę, biegali po objętych pożarem ulicach, inni naoślep biegli szosą, uciekając od pocisków.

Dwóch chłopaków — trzynasto i piętnastoletni, z niezmiernym wysiłkiem nieśli na improwizowanych z desek noszach starą kobietę.

— Pocisk upadł wprost na nasz dom — opowiadają—i zburzył go do fundamentów, przebił nawet murowane sklepienie nad piwnicą, w której byliśmy ukryci. Odłamek granatu czy gruzu zgruchotał nogę naszej matce. Owinąwszy ranę byle czem, położyliśmy ją na pokrywie od paki i wynieśli za miasto...

Po szosie biegły kobiety, dzieci, mężczyzni, nie bacząc dokąd, byle jak najdalej uciec od tego piekła, gdzie pożar i śmiercionośne pociski pozbawiły ich ostatniego schronienia. Za miastem, koło cegielni, bezustanku trzeszczą wystrzały i coraz w tym hałasie rozlega się miarowe tętnienie kartaczownic. Reflektory wysuwają długie, świecące palce, macając pozycje rosyjskie. Rozbłyskując w różnych miejscach, przecinają nawisłą mgłę i zalewają swem chłodnem światłem oddale pól i lasów.

Gaśnie reflektor, w powietrze wzlata rakieta za rakietą. Niemcy namacują rosyjskie oddziały wywiadowcze, przechodzące wbród po szyję przez rzekę i dochodzące aż pod ich pozycje. Przez kilka dni Niemcy posuwali się pod ziemią, zbliżając się do pozycji przeciwnika—i wreszcie porwali się do ataku.

Gwar zmieszanych głosów, który przed chwilą rozdarł powietrze, zatonął w huku salw karabinowych i trzasku mitraljez. Kilkanaście minut ataku wydają się długie, jak wieczność.

Nagle wszystko ścichło, jakby obciął nożem. — Hurra!—rozległo się donośnie. Wojska rosyjskie spotkały atakujące kolumny. Kilka minut oczekiwania—

i znów zagrzmiały armaty, kończąc bój na bagnety, w którym odparto przeciwnika.

I znów przestrzeń między okopami zabłysła blaskami reflektorów. Po polu bitwy pełzają ranni, których niepodobna uprzątnąć...

Wzmaga się mróz nad ranem. Las i pola pobielały od szronu. Strach bierze o rannych, którzy pozostali na polu bitwy.

Zgasły reflektory. Mglisty poranek przyszedł na zmianę nocy.

Nie ustając ani na chwilę, grzmią działa.

Chwila przerwy — i nad wieczorem bój wznawia się z dawną zaciętością.

Przez całą noc grzmią armaty. Coraz pół nieba rozświetla się na mgnienie oka blaskiem podobnym błyskawicy. Przez całą noc załamane linje okopów rozbłyskają płomykami strzałów karabinowych. I całą noc wznoszą się ku czarnemu niebu i zapalają się niebieskawo-białym płomieniem ogniste świece niemieckie. Zatrzymują się, wzleciawszy wysoko do zenitu i, lekko drgając, jakby przykucając, wolno, niezmiernie wolno, opadają ku ziemi. Zanim jedna opadnie, już wzlata z szumem nowa rakieta, dwie, trzy, pięć, jedna po drugiej. Blask ich jest tak silny, że czasem zaćmić ich nie może światło bardzo silnego reflektora. Ognista śmierć panuje dokoła, tysiącem oczu wypatruje dookoła, szuka chciwie swych ofiar. Na spotkanie jej wychodzi wprost zwyczajny człowiek w szarym szynelu i baraniej czapie. Do tej zadziwiającej iluminacji w ciągu czterech ciemnych nocy dołączał się ogromną łuną, szarpiącą się na wichrze, pożar Sochaczewa. Specjalne szrapnele, zapalające wszystko, na co upadną, podpaliły i to małe, nikomu niepotrzebne miasteczko. Szrapnele te są nabijane zamiast kul rurkami, zawierającemi masę rozpławioną i palącą się w ciągu kwadransa. Koniec rurki zaopatrzony jest główką stalową, która uderza w przedmiot, a wówczas rurka pęka i wylewa płonącą masę takiej siły, że stare, przegniłe i mokre belki zapalają się od niej, jak łuczywo.

Pożar zaczął się od gmachu ratusza i ogarnął całe miasto. W przeciągu czterech dni gęsty obłok czarnego dymu wskazywał, gdzie dawniej był Sochaczew. Przez cztery noce trwała łuna, słaniała się pod wichrem na czarnem niebie...

Reszta mieszkańców opuściła Sochaczew. Byli tacy, którzy uciekali dopiero w ostatniej chwili, gdy nad piwnicami, w których „przeczekiwali Niemców", zaczęły walić się domy... Wśród mieszkańców, którym się nigdy nie śniło brać czynny udział w jakiejkolwiek wojnie, są zabici i ranni. Byli tacy, co zginęli w płomieniach, tacy, co potracili swe dzieci. Były też wypadki bohaterskiego poświęcenia, do którego zdolną jest tylko matka. Żona miejscowego sędziego w czasie pożaru sama jedna, bez niczyjej pomocy, wyniosła z płonącego domu ośmioro swych dzieci. Uratowała je—zapewne jest w tej chwili szczęśliwą, że je uratowała, lecz Boże chroń każdego przeżyć to, co przeżyła ta kobieta pełna poświęcenia!...

Gdy ustała kanonada, można było sprawdzić, że Sochaczew, aczkolwiek ucierpiał od strzałów armatnich, nie został całkowicie zniszczony.



Nad kanałem Suezkim. Wojska tureckie nadaremnie usiłują opanować kanał.

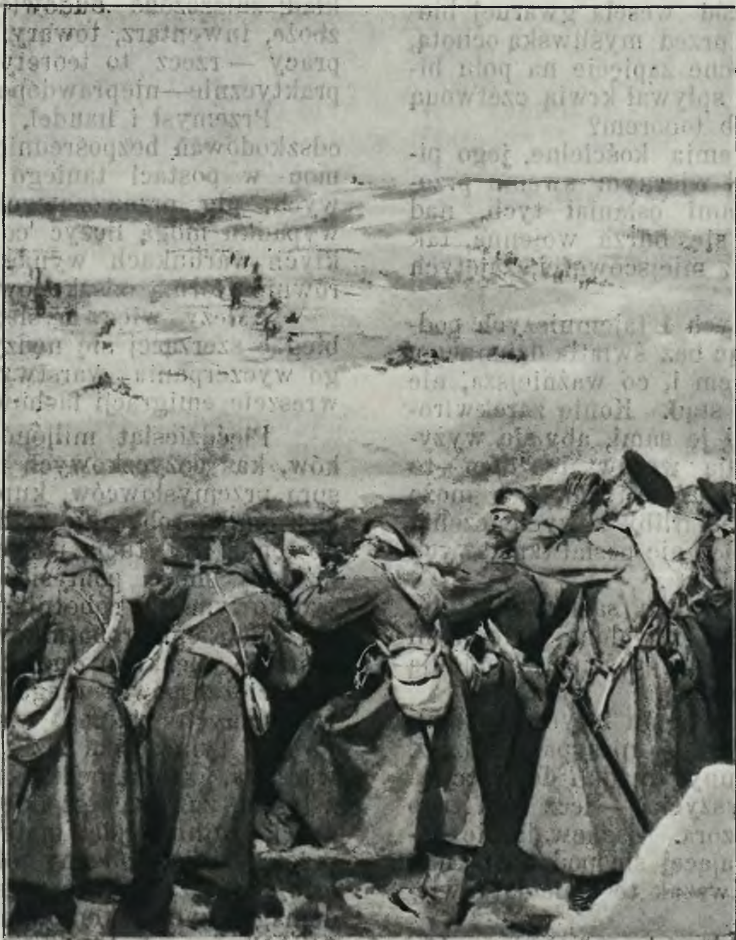
Okazało się jednak, że w mieście nie pozostało ani jednej żywej duszy. Z początku opustoszała zupełnie część miasta na lewym brzegu Bzury, potem na prawym. W całym Sochaczewie pozostało 29 mieszkańców. Byli to zgrzybiali starcy, którzy postanowili umrzeć w mieście, w którem ujrzeli światło dzienne. Ratując się od śmierci głodowej, i ci ostatni opuścili miasto. W tem martwem mieście niema nawet psów. Wszystkie wyniosły się na pola okoliczne. Kilka kotów tylko, wyleniałych i wygłodzonych, wałęsa się po mieszkaniach, miaucząc przeraźliwie.

Nad Rawką.

Jechałem nocą z M. do Ż., wzdłuż linji bojowej, i ujrzałem znów pełen grozy obraz bitwy nocnej. Walka toczyła się za lasem, z za którego dolatywał nieprzerwany huk armat. Długiemi pasmami rozbłyskały na niebie strzały armatnie; podobne gwiazdom, zapalały się przy wybuchu i gasły szrapnele. Zrzadka przebiegał po niebie długi promień reflektora i opadał ku ziemi, by odnaleźć wroga. Oto zamarł i wpił się w jedno miejsce, jakby chciał przebić jakąś niewidzialną przeszkodę. Jedna za drugą wzlatały rakiety, podobne kłębkom ognistym. Płonąc purpurowym blaskiem, wznosiły się nad lasem, zawisały na chwilę w powietrzu i opadały, gasnąc powoli. Po ich jasnym rozblasku, noc wydawała się ciemniejszą.

Co jakiś czas rozlegały się strzały karabinowe, lecz mitraljezy milczały jeszcze: to znak, że bitwa nie doszła jeszcze do ostatecznego napięcia.

W oddali szeroko na horyzoncie rozlała się niegasnąca łuna: to gdzieś daleko wszczął się pożar. Cieszą się teraz serca artylerzystów: zapaliło się! strzał był udatny! Pół roku już mija, jak co noc to tu, to tam płomieni się pożarem niebo Polski. Szalona walka nie zna spoczynku i spokoju.



Na pozycjach czołowych.

Miedniewice Klasztorne.

Znany nowelista rosyjski, W. Mujżel, obecnie korespondent wojenny do „Birż. Wied.", zwiedzał starożytny kościół poklasztorny w Miedniewicach pod Guzowem, który znajdował się przez pewien czas pod ogniem artylerji niemieckiej. Pomimo niewielkiej odległości od Warszawy, kościół miedniewicki, jeden z najstarszych zabytków naszego budownictwa, pozostawał dotychczas nieznanym. P. Mujżel pisze o nim z zachwytem:

„Starożytny, prosty i poważny w linjach kościół widnieje zdaleka. Zbudowany jest w linjach prostych i mocnych, jak to budowano dawnemi czasy. Ze wszystkich stron otaczają go kryte krużganki, nadające kościołowi piętno zażyłości. Zdaleka podobny on jest do wielkiego domu mieszkalnego, ozdobionego na rogach daszkami dwóch wieżyczek. W jednej z nich, wspartej na dziesięciu smukłych, mało harmonizujących ze stylem budowli kolumienkach — jest dzwonnica, w drugiej — przedpotopowy, kowalskiej roboty zegar. Jest on wielki, niezgrabny, ciężki, nieodpowiedni dla naszego czasu. Przywykł wybijać powolnego dziny nie ruchliwego, ociężałego życia wieków średnich...

I dzwony drugiej wieżyczki są jakieś nieśmiałe, nieledwie biedne, i zdaje się, największy z nich, spracowany dzwon — jest pęknięty: kiedy uderza, to w jego naderwanym, drżącym głosie dźwięczy nuta skargi.

Skargi na inne czasy, dziwne czasy, na ludzi niezrozumiałych.

Stary kościół przypomina dom: jest w tem swoisty urok. Zda się, że wówczas, gdy wznoszono te ogromne mury, budowano splątany labirynt korytarzy i przejść, nieskończony sznur galerji podziemnych i sklepów piwnicznych pod fundamentami, Bóg był bliżej ludzi...

Złe czasy przyszły znów na ludzi; niebiosa stały się bardziej dalekie, nabożeństwo bardziej uroczystem; mąt poszedł pomiędzy narodem i znikło poczucie bliskości Boga. Znów przyszli ludzie do Jego domu, starego, w mgłę legend otulonego domu—i tak samo gościnnie i miłościwie, jak patrjarcha rodu, nie znający nawet imion jego niezliczonych odrośli, stary kościół przytulił ich i ukrył w swych podziemnych wnętrzach. I stoi nad nimi, marząc o odległych czasach, kiedy twórca nieśmiertelnego zegara, kowal posępny i samotny, ponuro nasłuchiwał powolnego chodu swego arcydzieła...

To kościół braci-reformatorów, odległemi, staremi czasy główna świątynia Księstwa Łowickiego...

Na linji okopów stoi ten stary, różnemi korytarzami i dobudówkami jak mchem obrosły, sędziwy kościół.

Znajduje się w nim obraz Rodziny Swiętej, cudami słynący. Mówi podanie, że na miejscu, na którem wznosi się kościół, była niegdyś uboga kapliczka, w której na słupie stał obraz. Cudowne uzdrowienia ślepych, paralityków, głuchoniemych wsławiły ją tak szeroko, że uzyskano pozwolenie na budowę kościoła. Dotychczas jeszcze obok ołtarza znajduje się nieociosany słup drewniany, do połowy starty dotknięciami ust pobożnych pątników, na którym niegdyś umocowany był obraz cudami słynący.

Obok wisi pas słucki wojewody mazowieckiego, przecudnej roboty, złotogłowiem tkany... Jakież to ręce przesuwały pasma zaśniedziałych nici, układając je w misterny, dziwny ornament? Czyje znów ręce odpinały złotą sprzączkę wśród wesela gwarnej biesiady lub ściągały ją mocniej przed myśliwską ochotą, czyje — pośpiesznie rwały mocne zapięcie na polu bitwy, gdy właściciel tego pasa, spływał krwią czerwoną z rany, zadanej berdyszem lub toporem?

...Najciekawsze są podziemia kościelne, jego piwnice. Stary kościół pozostał wiernym swemu przeznaczeniu. Jak przed wiekami osłaniał tych, nad których głowami rozszalała się burza wojenna, tak i dziś przytulił uciekających z miejscowości, zajętych przez Niemców.

Mieszkają oni w mrocznych i tajemniczych podziemiach starej świątyni, żyjąc bez światła dziennego, dziwnem, niezwyczajnem życiem i, co ważniejsza, nie mając nadziei wydostania się stąd. Konie zarekwirowali im Niemcy, lub sprzedali je sami, aby się wyżywić. Nie mają koni, nie mają wozów; ich dom—to podziemia kościelne. Zamknęli się tam — i może wszyscy w liczbie 180 ludzi pomarliby z wycieńczenia i głodu, gdyby Związek ziemstw nie posłał tam swych kuchen polowych i nie karmił ich.

Mieszkają oni w bezpośredniem sąsiedztwie nieboszczyków. Tuż obok wnęki zawalonej wielkiemi rupieciami domowemi, pierzynami, pościelą—znajdują się starożytne katakumby grobowe.

Trzeba oddać pochwałę dawnemu zwyczajowi balsamowania: wszystko w proch się rozsypało: odzież, czasem deski drewnianej trumny; rzadko dostrzec na ręku trupa resztki złotego wyszycia, — lecz sam trup leży, jakby złożono go tu wczora. Zachowała się nawet elastyczność skóry, uginającej się pod naciskiem palca, jak guma:.. A leżą tu wszak te ciała lat dwieście — trzysta...

Jaki dziwny, fantastyczny mają wygląd te otwarte groby przy migotliwym blasku świecy! Suche, pociągłe twarze zachowują wyraz surowej, poważnej zadumy. Zachowane muskuły twarzy, niespróchniałe kości nadają dziwny pozór życia tym, którzy od lat dwustu zapadli w sen wieczny.

Niektórzy leżą po dwóch w jednym grobie. Drżące cienie i plamy niepewnego światła tworzą na ich obliczach pozór dziwnego uśmiechu. Jak gdyby właśnie przed chwilą, spłoszeni wtargnięciem nierozumnych żywych ludzi, zamilkli, przerwali tajemniczą, głęboką rozmowę o tem, czego pojąć nie zdołają żywi... Dziwny spokój i milczenie grobowe, gdy dokoła, po całym kraju, grzmią stalowe paszcze dział...“

Organizacja pomocy dla warstw robotniczych.

Położenie warstw robotniczych, wywołane przez kryzys wojenny, jest szczególnie ciężkiem. Przedsiębiorstwa ograniczają produkcję, lecz jednak trwają; robotnik nie ogranicza swej pracy, lecz wprost ją traci, zwiększając coraz liczniejsze szeregi bezrobotnych. Pozbawiony jest możności otrzymania odszkodowania. Ludność włościańska otrzyma asekurację za spalone budynki; częściowe wynagrodzenie otrzyma też i większa własność ziemska. Możliwem jest wydanie specjalnego prawa o odszkodowaniach za straty, które dają się ściśle obliczyć i udowodnić, jak naprzykład: zniszczone budowle, zdeptane zasiewy, zabrane zboże, inwentarz, towary. Lecz odszkodowanie za brak pracy — rzecz to teoretycznie zupełnie możliwa, lecz praktycznie—nieprawdopodobna.

Przemysł i handel, chociaż nie otrzymają może odszkodowań bezpośrednich, będą mogły liczyć na pomoc w postaci taniego kredytu, zamówień skarbowych, ulg przewozowych i t. p. Robotnicy w tym wypadku mogą liczyć co najwyżej na pracę na zwykłych warunkach wynagrodzenia, lecz nie będzie to również formą odszkodowania.

Należy więc myśleć zawczasu o tem, by zapobiegać szerzącej się nędzy i nie dopuścić do zupełnego wyczerpania warstwy robotniczej, do koniecznej wreszcie emigracji fachowych sił z kraju.

Pięćdziesiąt miljonów, przeznaczonych dla banków, kas pożyczkowych i wzajemnych kredytów, wesprą przemysłowców, kupców, właścicieli warsztatów, lecz ominą robotników, dla których, niestety, jedyną dostępną instytucją pożyczkową jest—lombard. A należałoby może pomyśleć o specjalnym funduszu pożyczkowym dla robotników.

Położenie robotników na długie lata jeszcze pozostanie ciężkiem: na barkach swoich wyniosą oni cały ciężar powojennego zastoju, wahań w przemyśle, wywołanych zmianą warunków na rynkach światowych. Tymczasem dziś patrzy się obojętnie, jak ta warstwa, która będzie musiała ciężko borykać się z losem, zużywa wszelkie swe zasoby i drobne oszczędności, rujnuje się materjalnie i fizycznie, zaledwie przetrzymując obecny okres wojenny. Skądże znaleźć siły i zasoby do przetrzymania późniejszych niedomagań życia ekomomicznego?

Brak pracy dotyka przedewszystkiem koła fachowców. Począwszy od pracowników biurowych i handlowych, subjektów sklepowych, techników, do robotników fabrycznych i rzemieślników—niedola, wywołana brakiem pracy, zatacza coraz szersze kręgi. Dziwią się ludzie, że ta rzesza bezrobotnych nie umiera z głodu, że nie chwyta się za ladajaką pracę, że nie widać jeszcze koczujących nędzarzy, powyrzucanych z mieszkań i nie mających środków na wynajęcie nowych. Któż zapyta, jakiemi ofiarami wzajemnemi ratuje się swych blizkich od głodu, jak w ciasnych pomieszczeniach daje się schronienie temu, kto został pozbawiony dachu. To nikogo nie obchodzi. Ale będzie obchodzić, gdy do przepełnionych mieszkań prywatnych wciskać się poczną zarazy i rozpowszechniać po mieście. Wówczas, po niewczasie, zaczniemy myśleć o tem, jak mieszka i czem żywi się bezrobotna ludność Warszawy.

Pomoc dla robotników organizowaną jest nieumiejętnie. Trzeba ją tworzyć na innych zasadach,

niż pomoc filantropijną. Fundusze, któremi dziś rozporządzają Komitety Obywatelskie, nie są jałmużną dla społeczeństwa, lecz tymczasową formą ogólnego odszkodowania za straty poniesione wskutek wojny. Niech więc i pomoc dla robotników oprze się na odmiennych podstawach.

Niezrozumienie potrzeby i wartości samopomocy, nieliczenie się z silnie rozwiniętem w warstwie robotniczej poczuciem godności, nieznajomość jej potrzeb i środków ich zaspokojenia—oto wady naszych instytucji pomocy obywatelskiej.

Korzysta z niej chętnie nędza miejska, której nie razi jej charakter jałmużniczy; w potrzebie ucieknie się do niej wyrobnik, uboga wdowa, chorzy i kalecy,—ci wszyscy, którzyby w zwyczajnym czasie z dobroczynności korzystali. Lecz czyż trudno zrozumieć, że zawaha się po taką pomoc wyciągnąć rękę robotnik-fachowiec, pracujący dziś za połowę lonu, lub przy znacznie zmniejszonym zarobku?

Że dotknięty drożyzną, chętniej żywiłby się w kuchni robotniczej niz w domu, z którego może żona wychodzi również na zarobek. Lecz nie będzie z tłumem nędzarzy wystawał w biurze Komitetu, czekając na bon obiadowy i przed urzędnikiem komitetowym usprawiedliwiał swe kwalifikacje na stołownika? Uczyni to chętnie i bez przymusu, lecz w swojem gronie, przed komisją robotniczą, znającą warunki jego życia i zarobkowania.

Sekcja opałowa również lepiejby zapewne wykonała swe zadania, gdyby udała się o pomoc do organizacji robotniczych.

Tymczasem do takich właśnie organizacji, jedynie powołanych nietylko do czynności rozdzielczych, lecz i do wyszukiwania sposobów pomocy, instytucje obywatelskie żywią instynktowną, nieusprawiedliwioną nieufność. A jednak— dość wspomnieć giełdy pracy, na które wciąż mnożą się skargi, by stwierdzić, że Komitet Obywatelski nie może sobie poradzić ze sprawą pomocy robotnikom.

Zamiast szczepić rozdwojenie i wzajemne niechęci, czyż nie lepiej byłoby pozostawić więcej samodzielności robotnikom, o których, przy nawale pracy, Komitet nie może pomyśleć należycie. W momencie, gdy potrzebne jest największe skupienie sił narodowych, jaknajściślejsza solidarność, brak poczucia tej solidarności wobec warstw pracujących, pozostawienie ich własnym siłom, jest klinem, rozszczepiającym ciało narodu, dzielącym go na dwa odłamy. Tego czynić nie należy.

Prasa o drużynach ochotniczych.

Na zasadzie zezwolenia naczelnych władz wojskowych rozpoczęto w Warszawie werbunek i formowanie drużyn ochotniczych polskich, włączonych w skład pospolitego ruszenia („opołczenja") i przydzielonych do armji południowo-zachodniej. Wielu młodych ludzi, stających do poboru tegorocznego, uznało za lepsze dla siebie wstąpienie w charakterze ochotnika („wolnoopredelajuszczijsia") do drużyn, gdzie łatwym jest dostęp do stopni oficerskich, niż odbywanie służby jako prosty żołnierz w wojsku regularnem. Wstępowało też i poprzednio do szeregów armji wielu młodych ludzi Ta kategorja ludzi również, naturalnie, skierowała się do służby w drużynach.

Początkowo organizowaniem drużyn zajmował się p. Witold Gorczyński. Później sprawę tę wzięło w swoje ręce grono osób, które poprzednio ogłosiły się jako „Komitet Narodowy" i wydały odezwę, tworzenie bowiem różnych komitetów i pisanie odezw jest obecnie w modzie. Ostatnio p. Gorczyński zawiadomił w liście, ogłoszonym w pismach codziennych, że od organizacji drużyn ochotniczych, się usunął, pozostał więc u steru tej sprawy „Komitet Narodowy".

Prasa warszawska, zwłaszcza należąca do obozu narodowo-demokratycznego, nie zasięgnęła dokładnych informacji u źródła o drużynach ochotniczych. Podawała więc najmylniejsze wiadomości, zwłaszcza, że „Komitet Narodowy" nie ogłosił urzędowych dokumentów, zezwalających na utworzenie drużyn. Wskutek wynikłych stąd nieporozumień i omyłek „Komitet Narodowy" musiał aż nadsyłać odpowiednie sprostowania.

Tak naprzykład, rozszerzano w prasie pogłoskę zupełnie mylną, że drużyny ochotnicze—to nie część pospolitego ruszenia lecz zupełnie odrębne wojsko polskie na wzór armji, która przed stu laty istniała w Królestwie Kongresowem, zupełnie niezależnej od wojsk rosyjskich, a która w 1831 roku za wzięcie udziału w powstaniu została przez władze rządowe zniesioną. Nic podobnego nie było—i trzeba się dziwić, że prasa tak źle zrozumiała zupełnie jasne rozporządzenie, zezwalające na tworzenie drużyn, które po wojnie zostaną rozwiązane. Kiedyindziej znów przyrównywano drużyny do znanych w historji legjonów, które w końcu 18 wieku utworzone były przez generała Henryka Dąbrowskiego; deklamowano o wskrzeszeniu świetnej ich pamięci, o cieniach Kozietulskiego, bohatera z pod Somosierry, Kniaziewicza, Dąbrowskiego, które błogosławić mają nowym „legjonom".

Po wyjaśnieniach, danych przez odnośne władze, pisma zaniechały niewłaściwych porównań drużyn ochotniczych, lojalnie walczących w szeregach rosyjskich, z legjonami, które tworzyły się zagranicą, wbrew zakazowi władz rosyjskich, pod dowództwem Napoleona, szykującego się do wojny z Rosją, i dla tego celu właśnie były tworzone. Ograniczono się wreszcie w prasie do informacji faktycznych i podawania listy składek. Niema dnia, aby kilkunastu rubli nie złożono na rzecz drużyn, a z początku, pod wpływem pism, złożono nawet parę znaczniejszych ofiar.

Pogłoska.

Brak dokładnych wiadomości, dotyczących Galicji Zachodniej i Poznańskiego, jest dla nas niewymownie przykrym. Coraz przychodzą jakieś alarmujące pogłoski, których na razie sprawdzić nie można. Coraz dalej—ma się wciąż to wrażenie—jesteśmy od porozumienia i jedności z naszymi rodakami z pod zaboru pruskiego i austrjackiego.

W ostatnich czasach rozeszła się pogłoska, powtarzana uparcie i przez prasę rosyjską, a według wszelkiego prawdopodobieństwa nieprawdziwa, o tworzeniu przez Austrję i Prusy z części Szląska, Galicji Zachodniej i ogarniętych przez wojska austro-niemieckie części Królestwa niezależnego państwa, którego królem ma być ks. Karol Stefan z Żywca, obrany

przez sejm elekcyjny, zwołany na 14 lutego do Krakowa. Treść odezwy, obwieszczającej ten akt państwowy, została podaną przez „Dziennik Piotrogradzki" z dn. 9 lutego.

Niektóre pisma warszawskie uwierzyły pogłosce i wspomnianą odezwę, krążącą po Warszawie w licznych odpisach, potraktowały serjo. *Gazeta 2 Grosze* wystąpiła z zasadniczym artykułem przeciwko powstawaniu takiego niezależnego państwa, co jej nie przeszkadziło w dwa dni później nazwać odezwę — figlem i wyśmiewać tych, którzy o niej serjo dyskutowali. Argumenty, z któremi wystąpiło pismo to są nader charakterystyczne.

W niektórych wywodach zbliża się *Dwugroszówka* do stanowiska socjaldemokratów, potępianych za zupełny zanik patrjotyzmu przez nią samą — i nietylko przez nią.

Oto niektóre ustępy wspomnianego artykułu:

„Przypuśćmy na chwilę, że Niemcy zwyciężą; idziemy nawet dalej w przypuszczeniach, że posuną granice owej Polski arcyksięcia Stefana aż po Dniepr i Prut... Jakaż byłaby przyszłość tej niepodległości Polski z łaski Niemców?

Rozdźwięk między Polską a Rosją, ba nawet całą Słowiańszczyzną powstał by tak wielki, że wszelka nić sympatji i łączności z budzącą się do bujnego życia rzeszą ludów słowiańskich byłaby raz na zawsze zerwana.

Przemysł polski byłby miał zamknięte rynki wschodnie— a rynki wewnętrzne zalane tandetą niemiecką i żydowską. Budzący się do życia tak pomyślnie handel rdzennie polski byłby zrujnowany.

Kurjer Warszawski znów wprawdzie powątpiewą w wiarogodność pogłoski, lecz występuje przeciwko jej treści z takim zapałem, że możnaby wątpić w jego... powątpiewanie. *Kurjer* gniewa się głównie o to, że według pogłoski, sejm elekcyjny i konwent narodowy, mający opracować konstytucję nowego państwa zwołuje, podpisany jako minister, socjalista Ignacy Daszyński. Oburza go:

„odezwa, rozlepiona w różnych miastach, okupowanych przez wojska niemieckie, zaopatrzona podpisem Franciszka Józefa, a kontrasygnowana przez włódarza socjalistów galicyjskich, pana Ignacego Daszyńskiego, jako (słuchajcie!) „namiestnika dla Galicji i Polski". Pan namiestnik Daszyński zwołuje „konstytuantę" do Krakowa, aby stworzyć Polskę, której Austrja odstąpić ma Galicję i Cieszyńskie, a Prusy dwa powiaty górnoszląskie: bytomski i opolski, oraz dwie okupowane gubernje Królestwa Polskiego.

Dla tej polskiej Albanji znalazł już pan Daszyński drugą edycję księcia Wieda. Ma nim być arcyksiążę Karol Stefan z Żywca, któremu wielki socjalista w imieniu Franciszka Józefa i swojem ofiaruje koronę. Aby jednak panowie „towarzysze" się nie obrazili, że tak dobrowolnie szasta koronami, więc pan Daszyński tłumaczy w odezwie, że nie ma na razie możności ustalenia tej kandydatury w drodze referendum narodowego, i dlatego poprzestać trzeba na zatwierdzeniu jej przez konstytuantę krakowską, wybraną oczywiście w drodze tajnego, powszechnego, równego, bezpośredniego i dwupłciowego głosowania."

Wiadomości polityczne.

Jak donosi „Dziennik Polski", w ustosunkowaniu się wzajemnem grup politycznych zaszły w naszym kraju w czasach ostatnich poważne i znamienne przeobrażenia.

Tak zwany „blok" zespolił się znacznie ściślej, aniżeli dotychczas, i obejmuje obecnie szereg osób osób bezpartyjnych i cztery grupy demokratyczne, całkowicie uzgodnione pod względem swych zasadniczych celów i dążeń.

Z drugiej strony nastąpiło podobno znaczne zbliżenie pomiędzy dwiema grupami „postępowemi", nie wchodzącemi obecnie w skład „bloku", t. j. pomiędzy Zjednoczeniem Postępowem i Polską Partją Postępową.

Wreszcie i w łonie Demokracji Narodowej zaszły pewne przeobrażenia, a to wskutek usunięcia się z tego stronnictwa szeregu osób wybitnych, które, jak wieść niesie, zamierzają utworzyć nową grupę polityczną.

Opuszczony dwór.

Wieczór już zapadł, kiedy samochód zajechał wreszcie przed ganek mrocznego, obszernego dworu. Świadcząc o jego pustce, chwiały się na szczątkach zawiasy przemocą wyłamane, pięknie rzeźbione drzwi wchodowe. Rozbita szklanka leżała u wejścia. W sieni panowała ciemność. Pomiędzy podstawkami wysokiego wieszadła na słomie leżał trup, poczerniały już, lecz niewiadomo czemu jeszcze nie rozkładający się. W jadalni talerze, na nich zeschłe, pokurczone kawałki wędliny, chleb, warstwy kurzu; szklanka herbaty, która wyparowała już do połowy.

Wszystko to było porzucone w ostatniej chwili, kiedy Niemcy słysząc okrzyki: kozacy! myśleli tylko o swoim ratunku. Na kanapie leżą porzucone razem mandolina i pikielhauba, futerał od lornetki i słomiane przykrycie z butelki... Na oknach niedopałki cygar i gilzy od nabojów. Na fortepianie bandaż, zerwany wprost z rany, pokryty zeschłą, zczerniałą skorupą krwi. Na fotelu pocztówki, zapisane wązkiemi literami gotyku: „Mein lieber Kinderchen..." i dopisek: „nie zapomnij trzepać mój nowy surdut, gdyż on mi jeszcze musi służyć i będzie służył, naturalnie, moja droga..."

Niedola matek.

Późna godzina, na ulicach prawie pusto. Koło cukierni, pod ścianą domu, kryje się jakaś postać kobieca. Czeka na kogo? Może zdecydowała się na to, co pod wpływem głodu uczyniło wiele kobiet w Ł... W tych dniach wysłano stąd około czterdziestu kobiet „za zajmowanie się prostytucją". Nasz ordynans, słysząc rozmowę naszą, dodaje:

— A ja widziałem, jak ich prowadzono Żal. Płaczą.

— Czemu?

— A jakżeż? Dzieci tu ich pozostały.

Niechaj, kto może, wejrzy w dusze tych matek, najnieszczęśliwszych pomiędzy nieszczęsnemi.

Adres Redakcji i Administracji „Co tydzień": MAZOWIECKA Nr. 8, TELEFON 186-40.

WARUNKI PRENUMERATY: w Warszawie rocznie rb. **3**, półrocznie rb. **1** kop. **50**, kwartalnie kop. **75**, miesięcznie kop. **25**. Za odnoszenie do domu kop. **5** miesięcznie. Na prowincji i w Cesarstwie: rocznie rb. **4**. półrocznie rb. **2**, kwartalnie rb. **1**, miesięcznie kop. **35** z przesyłką pocztową.

Cena pojedyńczego numeru (bez dodatków) **kop. 6.**

Cena ogłoszeń: za wiersz petitowy jednoszpałtowy kolumny trzyszpaltowej **20** kop. **Reklamy** za wiersz jednoszpaltowy kolumny dwuszpaltowej kop. **60**.

Drukarnia Naukowa, Warszawa Mazowiecka 8. Redaktor i wydawca **Antoni Burkot.**

Дозволено Военной Цензурой, Варшава, 11 Февраля 1915 г.